ROZMAITOŚCI.

Dnia 10. Maja. **N^er^ 19.** **Roku 1854.**

ZŁOTY KLUCZYK

z francuzkiego, P. Oktawa Feuillet.

(Ciąg dalszy. Ob. N. 16. 17. 18. Rozm.)

Jérzy.

Więc sądzisz że to dziecko — którego portret skréśliłeś właśnie w sposób prawie krzywdzący, ten wzór dystynkcyi i prostoty, niewyszukanéj elegancyi i naturalnéj gracyi, — sądzisz że ona po tobie nic innego nieoczekuje, prócz owéj statecznéj przychylności o któréj mówisz?

Raoul.

I czegoż ty chcesz, żeby ona oczekiwała, mój drogi przyjacielu? Zuzanna była wychowana na gospodynię wiejską, i to właśnie podoba mi się u niéj. Zamęźcie jest dla niéj zamęźciem; kot kotem a mąż mężem, — nic więcéj.

Jérzy.

Ależ-bo ona niéma jeszcze dwudziestu lat, ta gospodyni! w jéj oczach goreje żywy płomień młodości! A pokaż mi młodą dziewczynę zwłaszcza wychowaną w swobodzie dostatków, któraby niewymarzyła w obłokach ślubnego pałacu?

Raoul.

Chociażby i tak?... Czyliżbym dla téj przewrotności, którą przypisujesz panom, miał zostać całe życie kawalerem?

Jérzy *(powstając nagle.)*

Ha! *(Raoul schyla się w téj saméj chwili i zdaje się szukać czegoś z uwagą.)* Zgubiłeś co?

Raoul.

Nie — Nic... Otóż jest! — Przypatrzno się — jeżeli dojżrzesz: to drobniutki kluczyk złoty; żona mi go dała dziś rano z wielką ceremonią i z wielką tajemniczością.... zdaje się że to coś bardzo kosztownego. Byłbym się obszedł bez podarunku. Wszystko co niedorzeczne, nudzi mnie.

Jérzy.

Wiész co, Raoulu, ja cię pożegnam!

Raoul.

Cóż to! Czy może pogniewałeś się na mnie?

Jérzy.

Nie; ale ty mnie martwisz. Od piętnastu lat jesteś jednym z moich najdroższych przyjaciół, Raoulu!... zcieśniłeś jeszcze ten węzeł dawnego braterstwa czynem szlachetnym, i zobowiązałeś mnie na wieki... ale zdaje mi się,

iżbym zapomniał o wszystkiém — tak jest, nawet o téj krwi którą przelałeś dla mnie, — gdybym cię słuchał jeszcze dłużéj urągającego się z najszlachetniejszych uczuć... co mówię? nawet z honoru twojéj młodéj małżonki z tą afektacyą wesołego humoru, z tą zarozumiałością libertyna!

Raoul, *(szyderczo.)*

Oh! oh! ci wojskowi, doprawdy, mają proch w żyłach — a słowa ich czuć stalą!

Jérzy.

Bywaj zdrów!

Raoul *(zatrzymuje go przemocą, zniżając głos.)*

Nim odjedziesz Jérzy, przyłóż na chwilę dłoń twoją do mego serca; przy téj dłoni uczciwéj może odzyska trochę życia i młodości!

Jérzy.

Cóż to ma znaczyć?

Raoul.

Kochaj mnie zawsze. Jestem nieszczęśliwy, ale niejestem podły. Ten sposób mówienia, który cię tak słusznie obraża, stał mi się już oddawna właściwym i prawie naturalnym, oddawna służy on za maskę bezczelną rozpaczy, która trawi moje życie; ale nigdy nieczułem bardziéj potrzeby udawania, jak w téj godzinie; bo czuję jak życie ztąd ulatuje! *(Uderza się w piersi.)*

Jérzy.

Wielki Boże! Jakąż-to okropną tajemnicę ukrywasz przedemną?

Raoul, *(stłumionym głosem.)*

Żadnéj... nic! Żyłem, to cała rzecz. Chciałbym, żeby jakie okropne nieszczęście spadło na mnie, walczyłbym, — pasowałbym się z losem, — byłbym pełen odwagi!... Ale nie: robak co mnie toczy, niéma nazwy, na chorobę moją niéma lekarstwa; przeszłość nieda się naprawić, a właśnie przeszłość mnie zabija! Spędziłem młodość moją bez wędzidła w świecie, bez wiary, — więcéj nic mój przyjacielu, i widzisz na co zeszedłem.

Jérzy.

Wszystko to dziwném mi się wydaje, trudno mi pojąć ciebie!

Raoul.

O! bo od czasu naszego wyjścia ze szkół, poszliśmy obadwa wcale różnemi drogami: ty wstąpiwszy do wojska poddałeś życie twoje zdrowym prawidłom pewnego obowiązku, pewnéj karności... a ja przeciwnie... Ale powiédz mi wprzód, czyli sobie przypominasz, jaki ja byłem przed dwunastu laty?

Jérzy.

Jakim ty byłeś, Raoulu? Byłeś, jakim cię widzę znowu od chwili, z sercem szlachetném i tkliwém — z duszą hardą, szczérą i egzaltowaną, zdolną do wszelkich poświęceń i godną wszelkiéj miłości.

Raoul.

Nie, nie... tyle nieżądałem od ciebie... ale wspomnienie twoje, jakkolwiek parcyalne, przyznaje mi, że wtedy były we mnie szczęśliwe zarody, zapowiadające człowieka z talentem i cnotą... Ale bezczynność owładnęła wszystko, i wszystko poszło w niwecz? — Niémam zamiaru, drogi bracie, opowiadać ci pospolitą historyę rozwiązłego człowieka ani bawić cię zwyczajnemi przygodami młodości

wyuzdanéj i bez zajęcia: chciałbym tylko pokazać ci, jaką właściwą i zgubną cechę nadaje podobnéj egzystencyi czas, w którym żyjemy. — Sądzę iżby potrzeba cofnąć się aż do owéj chaotycznéj anarchyi, która służyła za przejście do dziejów nowoczesnych, chcąc natrafić na czas gdzie w równym stopniu jak w naszych czasach zapoznano władzę, powściągliwość, wiarę, te odwieczne prawa Opatrzności, którym podlega cały nasz świat moralny i umysłowy. Uważałeś to bezwątpienia, że dusza ludzka równie jak umysł, ażeby się wznieść aż do cnoty i jeniuszu, potrzebują pewnéj wyższéj powagi, na któréj im nigdy tak niezbywało jak w naszych czasach. — Mamy zapewne te same przymioty i zdolności jakiemi się odznaczali nasi ojcowie, ale gdzież owe siły ożywcze, co ich pobudzały do wielkich czynów!... Żaden stały powiew niewzdyma naszych żagli. Jesteśmy jak okręt opuszczony, którego ster i wiosła, chociaż całe jeszcze, poddają się bezwładnie zmiennym a częstokroć przeciwnym zachceniom bałwanów i wichrów. Tak więc narzędzia siły i ratunku służą mu tylko na zgubę; tak i my również idziemy na zagładę, — okręt bez sternika, ludzie bez Boga! — I to nazywają postępem!

Jérzy.

Istotnie, pomiędzy występki naszego wieku należy policzyć i to, że sponiewierał nawet i to wzniosłe pojęcie.

Raoul.

O! tak, — widzę mój Jérzy że się jeszcze obadwa rozumiemy. I ja umiem cenić dobrodziejstwa postępu, ale niémam też owéj zaślepionéj dumy, tak pospolitéj na nieszczęście, ażebym odrzucał zarówno z zabytkami feudalizmu. wszelką wiarę, wszelką regułę, wszelką karność moralną, począwszy od wiary w Boga, aż do uszanowania dla matki i dla rodzinnego kraju! Szaleńcy! te uczucia, te obowiązki, te odwieczne jarzma, któremi wstrząsają, są właśnie warunkami naszéj siły, — naturalnemi dźwigniami wielkości ludzkiéj: utrzymują, że łamią nasze zapory... oni niszczą w nas rdzeń życia! — Otóż w takim świecie żyłem, i jakkolwiek go w duszy potępiam, przesiąkłem jednak jego trucizną. W tym świecie, mój drogi przyjacielu, jeden tylko jest środek, ażeby ocalić z zamętu poczciwość i cnotę, i zachować im hart i nieskazitelność: — a tém jest praca. — Ale mojéj młodości nieochraniał żaden stały obowiązek, żadna praca, a bezczynność jest w naszych czasach bardziéj niż kiedykolwiek zgubą młodzieży. To jest wszystko com ci chciał powiedzieć i jakkolwiek się wstydzę téj długiéj frazeologii. nie żałuję jéj jednak, jeżeli ci mogła dać wyobrażenie o mojéj nędzy, — uniewinnić w oczach twoich moje spodlenie.

Jérzy.

Możesz się wystawiać w najgorszém świetle, ale ja ci nieuwierzę. Nie! dusza wycieńczona niemoże sądzić się tak surowo! serce przewrotne niemoże wznieść się aż do tego nadludzkiego poświęcenia, którego mi dałeś dowody!

Raoul.

Mylisz się bracie — daruj mi to poetyczne porównanie: widzę jak archanioł

potępiony, głębię mego upadku; ale mimo-to nie mogę się podnieść. Osądzam się, ale się niepoprawiam — twoja przyjaźń, nasze wspomnienia młodości, wywołały z mojéj strony te szczére zeznania; odkryłem ci moją ranę, ale ta rana pozostaje zawsze nie do wyleczenia. Ta chwila przeminie, a ja znowu będę czém byłem. Słowa moje równie jak moje czyny przybiorą mimo mojéj woli ponurą barwę zniechęcenia, znużenia i dumy... — Co do owego domniemanego poświęcenia się, mniejbyś je cenił, gdybyś wiedział, z jakim peryodem mego życia się łączy.... Gdym się znajdował w połowie opłakania godnéj kolei mojego młodzieńczego wieku, doznałem jakoby chwili ocknienia: jest-to pauza zwyczajna w egzystencyach najrozwiąźlejszych. — Z obrzydzeniem uznałem moją słabość i mój upadek. Sam sobą gardziłem. Rodzaj wściekłości opanował mą duszę: uczułem w sobie nagłą siłę do wydobycia się z przepaści i ocalenia się wysileniem rozpaczy. Wtedy pragnąłem jakim bohaterskim czynem, jakiém wielkiém umartwieniem, jakiém męczeństwem zmyć dawną nikczemność!... Ale duch wieku wysuszył wszystkie ożywcze źródła, w którychby się odrodzić mogła dusza: gdzie wszelka wiara zamarła, tam ofiara niéma ołtarza! Dawne drogi zbawienia wiodą tylko do śmieszności. Tego przekonania nabyłem śród najlepszych przedsięwzięć; ale byłem jeszcze pod wpływem téj manii, gdym się z tobą zeszedł w Afryce; teraz pojmiesz bracie że mój skok niebezpieczny, który mi poczytujesz za tak wielką zasługę, zaledwie miał wartość owych rycerskich koziołków, któremi Donkiszot na skale Ubogiéj, obrażał skromność Sanchy.

Jérzy.

Mów co chcesz, ale był-to czyn wielkoduszny, który powinien był pogodzić cię z samym sobą.

Raoul.

Bynajmniéj. Dla mego odkupienia potrzeba było większego a przedewszystkiém trwalszego obowiązku. Społeczeństwo niepodawało mi do tego sposobności, albo ja nieumiałem jéj schwycić. Słowem, po kilku miesiącach tego bezskutecznego szamotania, puściłem się znowu z dawną niedbałością na bezdroża rozwiązłego życia. Teraz ustały już te burze, te walki wewnętrzne, które przynajmniéj świadczyły jeszcze o śladach siły i cnoty; wszelka lawa zastygła; wszelki płomień zagasł: — jestem spokojny. *(Wpada w zadumanie, opierając czoło na dłoń.)*

Jérzy, *(po chwili milczenia.)*

Opamiętaj się... ktoś nadchodzi.

Raoul, *(powstając.)*

Szukają mnie, zapewne... *(Słucha.)* Ale nie... Omyliłem się... Jednak długo mnie niebyło... Czy już zapominają o mnie?... Mniejsza o to! Jeszcze dwa słowa, Jerzy: opowiedziałem ci moją historyę a zarazem historyę wielu innych; ale niewiesz jeszcze wszystkiego... Pytałeś mnie, dlaczego się żenię?.. Mój Boże! był-to ostateczny środek, którego chciałem spróbować. Małżeństwo wydało mi się ostatnim środkiem odmłodnienia i ratunku. Marzyłem o chrzcie

w dziewiczéj fali; sądziłem że za czystém dotknięciem serca niewinnego krew się moja odnowi a dusza odżyje. Słowem miałem nadzieję, że prawdziwe i proste wzruszenia czerpane z samego łona nieskażonéj moralności, zdołają jeszcze obmyć moje plamy i wskrzesić we mnie zarody boskie.

Jérzy (*niecierpliwie.*)

No i jakże?

Raoul.

Ha, czegoż chcesz? Zuzanna jest dobre dziecko, wyposażona wdziękami, godna miłości; ale niéma ona w oczach moich tego uroku, coby zdołał zatrzéć ślady mojéj przeszłości... Gdzie tam! owszem wywołuje ona we mnie najohydniejsze wspomnienia. Każden jéj ruch, każdy jéj rys, jéj sposób wyrażania się, — biédna dziewczyna! — przypomina mi... nieśmiem powiedziéć kogo; — dość że mi się zdaje, jakoby zły duch podszeptywał mi bezecne porównania, natrętne podobieństwa, że widzę w niéj tylko zimną kopię dziesięciu innych... kobiétę, jakich znałem aż nadto... Ciebie to oburza, jak widzę?

Jérzy.

Przestań mówić o tém. Powiedz mi tylko czyli to ożenienie, to połączenie się w obliczu Boga, ta ceremonia która mnie do łez rozrzewniła, nie sprawiła na tobie żadnego wrażenia?

Raoul, (*wpadając w swój zwykły ton sarkastyczny.*)

Daruj mi, ale wrażenie jakiego doznałem, było zupełnie inne od tego, któregom się spodziewał. Najsamprzód kiedy ten opasły urzędnik swoją tłustą ręką spoił nasze dłonie; — późniéj, kiedy u stóp opuszczonego ołtarza, w obliczu próżnéj świątyni, ten ksiądz, którego wiara równie wątpliwa jak moja, pobłogosławił mi machinalnym gestem... przyznam ci się żem pytał sam siebie, jaką ja komedyę odgrywam z tymi panami, i że z trudnością wstrzymałem, pod maską uroczystéj powagi, szalony uśmiech który mnie ściskał za szyję!... Wiary — mój kochany — wiary niéma we mnie! Nie rozważyłem tego; ha, stało się! — Ale teraz, bywaj zdrów Jérzy. Druga godzina — gotowi szemrać starzy. A jest tam między nimi dwa lub trzy ciekawych egzemplarzy, czy uważałeś?... No, bądź zdrów.

Jérzy.

Bywaj zdrów. Niewiem kto z was dwojga więcéj godny pożałowania.

Raoul.

Otwarcie mówiąc, mnie się zdaje że ja. — Te okropności są tajemnicą dla tego dziecka, a czego niewiemy to nas niedręczy.

Jérzy.

Daj słowo że mi doniesiesz o dalszych następstwach tego wszystkiego, bo pomimo twoich zeznań, kocham cię z duszy.

Raoul.

Dziękuję ci bracie. — Dlaczegoż nie? będę ci pisywał, ale podobno nie będzie o czém. Jakież tu mogą być następstwa? — Tu już koniec. — Dobranoc!... Do widzenia się w Fontainebleau!

(*Ściskają się za ręce. Jérzy odchodzi dziedzińcem; Raoul dąży ku domowi*)

(Ciąg dalszy nastąpi).

ZA PÓŹNO.

Komedya w 1 Akcie wierszem.

przez

Ksawerego Godebskiego.

(Dalszy ciąg. Ob. N. 16. 17. 18. Rozm.)

Scena 9.

Podkomorzy. — Hrabina. — Zosia.

Hrabina.

Szukam cię stryju wszędzie — przechadzka tak (miła.

Podkomorzy.

Właśnie się wybierałem; lecz kiedyś wróciła,
Zamierzoną przechadzkę na potem zostawię:
Mam tu z tobą pomówić w dość naglącej sprawie:
Zgadujesz pewnie... Jakże znajdujesz Wacława?

Hrabina. *(obojętnie.)*

Bardzo dobrze.

Podkomorzy. *(do Zosi.)*

Asinćka nie bądź tak ciekawa:
Zostaw nas proszę samych.

Zosia. *(odchodząc.)*

Znam ja twoje plany.

(odchodzi.)

Podkomorzy.

Polak szczery, syn prawy, przyjaciel wylany;
Pełen zalet...

Hrabina.

Nie wątpię.

Podkomorzy.

Ręczyć mogę za nie:
Najlepszym będzie mężem — mam to przekona- (nie.
Chciałbym was uszczęśliwić w jednym dniu (oboje:
Nie chodzi mu o posag, lecz o serce twoje;
Ale ślubna umowa pogodzi te rzeczy,
Bo cały mój majątek tobie zabezpieczy.

Hrabina.

Jakże odwdzięczyć zdołam?..

Podkomorzy.

Celino dość o tém:
Powiedz mi, że zezwalasz, podziękujesz potem.

Hrabina.

Szanuję twoją wolę, chcę ją spełnić ściśle;
Ale pozwól, niech wprzódy nieco się rozmyślę.—
Pan Wacław dziś mnie poznał — zkądże mogę (wnosić,
Żem się podobać mogła?

Podkomorzy.

Widział cię to dosyć.

Hrabina. *(z uśmiechem.)*

Nie każdy twojém sercem przylgnąć może do (mnie.

Podkomorzy.

Że on przylgnął to pewna: cenisz się zbyt (skromnie.
(zwracając się ku Bibliotece i głos podnosząc.)
Jam zrobił swoje — reszta do niego należy.
(ciszéj.)
Ręczę za to, że z całym pośpiechem nadbieży
Oświadczyć swoją miłość. — Wysłuchaj życzli- (wie:
Proszę cię o to.

Hrabina.

Woli twéj się nie sprzeciwię.

Scena 10.

Hrabina. *(sama)*

Stało się... wyrok zapadł... odetchnąć mi nieda...
Oh! czemuż los w te miejsca sprowadził Alfreda?
Czas zacierał powoli dawnych wrażeń piętna:
Sądziłam że zapomnę... Precz myśli natrętna!
Raz już niebaczna miłość zatruła dni moje,
Dziś przeciwko niéj serce rozsądkiem uzbroję:
Łudzący pozór nie tak łatwo mnie zaślepi...
Któż mi zresztą nad stryja sprzyjać może lepiéj?
Mąż wybrany przez niego ma szlachetną duszę:
Będzie miał miłość moją — tak chcę... tak (chcieć muszę...
A Alfred... cóż mu powiem?.. dość własnéj bole- (ści...

Scena 11.

Hrabina. — Rotmistrz.

Rotmistrz. *(w gwałtowném poruszeniu.)*
Ah! pani, mamże wierzyć téj okropnéj wieści?
Rękę, co méj wierności miała być zapłatą,
Mają oddać innemu — ty zezwalasz na to!
Mów Pani — chytra zmowa niech wyjdzie
(z ukrycia:
Jednem słowem rozstrzygnij los mojego życia..

Hrabina.
Co znaczą te wyrzuty? zkąd wniosek surowy,
Że mój związek jest skutkiem jakiejś chytréj
(zmowy,
Jestem wolną...

Rotmistrz. *(przerywając.)*
Chciałażbyś Pani tą przyganą
Dowieść, że miłość moja była ci nieznaną?
Zbyt ona w duszy mojéj utkwiła głęboko,
Iżby jéj najmniéj bystre nie dostrzegło oko:
Dla niéj byłbym zniósł wszystkie ofiary i trudy;
Z niéj się snuły sny szczęścia, nadziei przyłudy;
Promień jéj całą przyszłość moją uweselał;
Dla niéj już tylko żyłem, dla niéj krew bym
(przelał,
Innego mych poświęceń nie szukając plonu,
Jak zasłużyć na ciebie i wielbić do zgonu.

Hrabina. *(na stronie.)*
Czas przerwać walkę — czuję że źle wyjdę
(na niéj.
(głośno.)
Słuchaj panie Rotmistrzu...

Rotmistrz.
Mów, rozkazuj Pani.

Hrabina.
Oddal się ztąd...

Rotmistrz.
Nie zdołam.

Hrabina.
A więc ja odchodzę.
Zbyt bawiłam.

Rotmistrz.
Dlaczegoż tak mnie karzesz srodze...

Hrabina.
O! zostaw mnie, przez litość!

Rotmistrz.
Jeźli się oddalę,
Czegoż mam się spodziéwać?

Hrabina.
Nie myśl o mnie wcale...
Czas... rozsądek...

Rotmistrz.
Każ umrzéć — zgon mi będzie miły;
Ale ciebie zapomniéć, to nad moje siły.
Gdybyś czuć mogła miłość, którą dla cię płonę,
Łatwoby wszystkie były zawady zniesione.

Hrabina. *(poruszona.)*
Alfredzie!..

Rotmistrz.
Lecz nieczuła chcesz mnie widziéć w grobie:
Rozpacz tylko zostawiasz.

Hrabina.
Jeślim drogą tobie,
Miejże litość...
(ocièra łzy.)

Rotmistrz.
Ty cierpisz i łzy twoje płyną!
Wysłuchaj... do nóg twoich rzucam się Celino —
Ah! powiedz — niech cię próżne względy nie
(uwodzą —
Mogęż zostać?

Hrabina.
Mnież pytasz?
(W tém otwiérają się drzwi Biblioteki — Hrabina podnosząc z żywością Rotmistrza.)
Przebóg! wstań — nadchodzą!

Scena 12.

Poprzedzający. — Wacław.

Wacław. *(idąc wolnym krokiem, zatopiony w książce którą w ręku trzyma.)*
Był-to dla nauk w Polsce istotnie wiek złoty:
Co tu dowcipnéj prawdy! co szczeréj prostoty!
(nagle podnosi oczy i spostrzega Rotmistrza.)
Znów on! licho nadało.. nigdyż nie odjedzie?

Rotmistrz. *(na stronie.)*
Kocha mnie, jestem pewny.

Hrabina. *(cicho do Rotmistrza.)*
Zostaw nas Alfredzie.

(Rotmistrz odchodzi — Wacław kładzie książkę na stole, patrzy za odchodzącym Rotmistrzem i mówi sam do siebie.)

Wacław.
Odszedł... trzeba korzystać — sposobność je-
(dyna —

(do Hrabiny.)
Mogęż sobie pochlebiać, że piękna Hrabina
Udzieli słudze swemu kilka chwil rozmowy?
Zbyt szczęśliwy....

Hrabina.
Ah! jakiż nieznośny ból głowy.

Wacław. *(osłupiały.)*
Jakto? tak niespodzianie?

Hrabina.
Wybacz Pan łaskawie,
Że go tutaj samego na chwilkę zostawię:
Utracona sposobność łatwo się odzyska.

(Kłania się i odchodzi do swoich pokojów.)

Scena 13.

Wacław. *(sam — wychodząc z osłupienia.)*
Masz tobie! sprawa była rozwiązania bliska:
Tylko co miałem miłość wynurzyć jéj moją,
Licho słabość nadało...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Szczęście.

Dzieje rodu ludzkiego dziejami pędu za szczęściem; lecz chociaż człowiek przemarzył wytwory całego świata, szczęścia nie schwytał przecie. Roił je w sławie, w zaszczytach, w zapałach, rozkoszach, w pracy, spoczynku, w naukach, szukał przy starożytnych ołtarzach krwawych, po puszczach indyjskich, pod choragwiami krzyża i na łonie rozpusty, w ponurych klasztorach i po taborach wesołych, wywoływał duchy by nauczyły jak mu stać się szczęśliwym. — I cóż więc? — Poszło mu z tém jak Twardowskiemu! — Więc przybądź filozofio, ty świata mistrzyni! — A filozofia od lat tysiąca gdacze: Wznieś duszę twoją, unikaj ponęty świata; wyrzecz się pożądliwości a szczęścia szukaj w zgłębieniu prawd niewidomych. Cóż kiedy wprzód pokurczyły się strzeliste pomysły nim choć jedna zagadka się rozwiązała. Za wiedzą marną, z wiatrem wionęło szczęście.

Gdzieś w szesnastym wieku wpruła się nauka teorya: że będzie szczęście jeźli się nędza ludziom pomniejszy, a zaś pomniejszy gdy się rozdrobią żywioły, i rozdrobią sposoby onych spożycia; więc mówiono podsuńmy tylko ludziom siła rzeczy pożytecznych, a rozum wyssie z nich pokarm, tém samém szczęście. I po dwu wieków doświadczeniu dziwnych napytaliśmy rzeczy; dowiedzieli się ludzie że szczęście to Postęp, — i zgoda, kto je pokłada w gorliwém zatrudnieniu, w swobodzie ruchu, w ustawach, w sztuce długiego życ a, w środkach ulżenia bolom, w łatwości związków ze światem, w wygódkach dwornych zadwornych — nie ma co mówić, do takich rzeczy Postęp się bardzo przysłużył; ale czy za tém szczęście narosło? — Żarty!

Rozumowi niéma granic, mówią, — ale ani uczuciom, ani chęciom niéma końca, ani ich składów, związków, rozwitków nikt nie spisał, którędy im droga, nikt nie wysłowił. Kto powie czém je złagodzić jutro, kiedy one dziś nie te same co wczoraj? Niéma szczęścia póki się rzeczywistość nie szczęchli z tém co w naszém jest tchnieniu, jeźli się nie spoi świat zmysłu oczewisty z tém co dusza myśli, czuje i pragnie. Rozum na to by szukać, by tropić, by śledzić tylko, którędy do takiéj zgody droga, a szczęście daleko gdzieś za rozumem. Mówią także że tu na ziemi rozum jest panem, a kiedy szczęście aż za nim, więc gdzie? za ziemią czy pod ziemią?

Czego się świat domyśliwał, odkryto teraz na prawdę, że Francuzi dokumentami strzelają a Anglicy palą. W paryzkim arsenale artyleryi obwijano ładunki prochu w stare pargamina z archiwów rządowych; gdyby nie ciekawość i rozsądek jednego z podwładnych, poszłyby były najkosztowniejsze dokumenta królewskie na flejtuchy. O tym samym czasie, gospodarna Anglia ustawiała dokumenta w stosy i paliła na potaż. Szczęściem dopatrzył tego w Wolwich jeden archeolog, i uratował dokumenta Stuartów.

Środek na oparzenie. Na oparzenie dobry środek „Mąka pszenna.“ Dziennik „Mark Lane Expr.“ donosi jako pewny obywatel z Dayton sam tego na dziecku swojém doświadczył. Dziecię wywróciło filiżankę z herbatą i mocno poparzyło rękę; wsadzono rękę dziecka w kosz mąki pszennéj, ból ustał natychmiast. Potem obandażowano wolno rękę obficie obsypaną mąką, nazajutrz rano nie było najmniejszego śladu oparzenia i dziecko żadnego nie doświadczało bolu.

(Tyg. rol. przem. Krak.)

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*